



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA

Czy „dalibóg, nie źli są ludzie“, jak śpiewał nieboszczyk Pol,—nie chcę się zastanawiać w tej chwili; ale, że w literalnym znaczeniu tych słów „życie idzie po grudzie“ w Syrenim grodzie — to fakt nieulegający wątpliwości, który psuje koniom nogi, dorożkom resory, a ludziom boki od czasu gdy figlarz mróz po całkowitej odwilży zawrócił nagle i pościął w lodowe skały błoto i resztki śniegu na ulicach naszych.

Pokazuje się, że dobre przeczucia mieli przeciwnicy sanny a zwolennicy projektu wywożenia odrazu „marnego puchu“, którym niebo zasłania ziemię.

Pod „marnym puchem“ rozumiem tym razem nie płec piękną i wietrzną istotę, ale najzwyklejszy śnieg, sypany z rzadką hojnością obecnej zimy przez zbyt łaskawe niebo.

Bruki warszawskie od kilku lat zmieniają coraz pomyślniej swą fatalną opinią, ale mimo to na bocznych ulicach zwłaszcza, w normalnym stanie pogody przechodzień stąpać musi z elikwibrystyką akrobaty; cóż dopiero gdy tak, jak teraz, potworzą się zapory, doły, bagienka i zaszadki, z którychby lis nie wyszedł cało!...

Mamy tedy kwestyą brukową, z którą łączą się chroniczne wypadki przewracania wozów i dorożek, wykręcania nóg parzystych i dwuparzystych, okaleczeń i t. p., nie miłych, w karnawale przede wszystkim, przypadłości.

Jeżeli doswiadczenie naprawdę uczy rozumu, to na przyszłość powinno się stać coś takiego, coby zabezpieczyło pieszą i jezdnią Warszawę od niebezpieczeństw łamania sobie, a przynajmniej nadwężania, karku, który nam tymcza-

sem do czego innego jest potrzebnym; choćby do podtrzymywania głowy, spadającej coraz niżej, choćby do dźwigania ciężarów, jakie życie codzienne powiększa, choćby do odbierania kulaków, których los nikomu nie szczędzi...

— Jaki z pana pesymista! — słyszę słowiczy głosik uśmiechniętej panią w różowej gazie, stojącej przed zwierciadłem i kończącej ubieranie się na bal Lutni, studencki, lub „anielski“; — jaki z pana pesymista!...

— Moja panienko — odpowiadam w duszy różowemu zjawisku—gdybym miał lat ośmnaście, jak ty, chadzał jeszcze na bale, walcował do zawrotu głowy i był przekonany, że Pan Bóg Adama stworzył odrazu we fraku i białym krawacie, a Elwę w balowej sukni i z wachlarzem w ręku po to tylko, by od początku do końca świata tańczyli przy muzyce Lewandowskiego, miałbym zapewne pogodniejszy pogląd na kwestyę... użyteczności i przeznaczenia karku naszego.

— Więc pan na bale już nie chodzi?

— Niestety, nie.

— Nawet na panieńskie?... to bardzo brzydko, mój panie. Gniewam się, a raczej — gniewamy się na pana. Na wszystkich innych wolno panu nie bywać, ale na naszych to obowiązek.

Każdy reprezentant komitetu balowego, każdy gospodarz i gospodyni powtarza to samo w tych czasach i widocznie przekonywa ludzi zgodnych, miłego serca i wrażliwego umysłu, bo na wszystkich publicznych balach dotychczasowych zabawa udawała się bardzo dobrze; o prywatnych wieczorach również gloszą nader pochlebnie dla gościnności gospodarzy i animuszu gości.

Wszystko zatem w porządku.

Jedna tylko skarga doleciała moich uszu:

— Panie, co to za niegodziwy zwyczaj wprowadzono w tym karnawale!...

— Cóż takiego?

— Wyobraź pan sobie, kolacje podają nad samem ranem, prawie o świcie. Okropność!

— I dlaczegoż to?

— Jakto dlaczego? o niedomyślny człowieku!... dlatego, żeby się wcześniej nie rozchodzili. Cóż to pan nie widział nigdy, jak z wieczoru goście nakarmieni umykają zaraz do domu?... Teraz, panie, wzięto się na sposoby i głodem przytrzymują ludzi. To nieludzkie postępowanie!

Rzeczywiście, ta sprawa wcześniejszych kolacji jest sprawą żołądka wprawdzie, ale należałoby ją wziąć do serca, tembardziej, że nasi hygieniści oddawna przeciw zbyt późnemu odżywianiu się, jako szkodliwemu, dla zdrowia powstawali.

Z drugiej strony brzydki to zwyczaj, odczepiać się od towarzystwa, jak nasycona pijawka i odrazu od stołu czmychać do przedpokoju i na schody.

Jesteśmy w połowie karnawału, w połowie drugiej, ale niepostrzeżenie wsuwamy się w sezon wystawowy, który bywa właściwością postu.

W Muzeum rolniczo-przemysłowym tkactwo rozstrzuwa swoje wyroby; we wszystkich salach na parterze i na obu piętrach wre ruch niezwykły, ustawiają kioski, gablotki, układają okazy, grupują wystawców, pomiędzy którymi dość liczny udział podobno przyjmują nasi włóścianie.

Jeden z budoarów ma być zajęty przez tkaniny stare, wyroby dawnych stuleci; nabierze przeto cechy archeologicznej i pomieści dawne kobierce, materje najrozmaitsze, pasy lite i t. p. Moda również stanie do popisu, a jako nowość zaprowadzonym będzie bufet, w którym ci, co nasycą oczy, znajdą sposobność nasycenia gardła.

Druga wystawa szykuje się w pałacu Kasińskich pod gorliwą opieką hr. Gustawa Platera; powiadają, że dla muzyków znajdą się tam białe kruki, a dla niemuzycznych śmiertelników bez liku rzeczy godnych widzenia i poznania.

Wszelkie instrumenta, nuty, autografy, por-

trety—utworzyć mają kolekcję zajmującą i pouczającą.

Redakcja *Echa Teatralnego* podjęła się ułożenia i wydania katalogu, który może stać się przyczynkiem do historii naszej muzyki, jeżeli ją kto pisać zacznie w obszerniejszych rozmiarach i w sposób wyczerpujący.

Mam dobre przeczucia co do wystawy muzycznej, nie tylko pod względem kassowym; kassa pożyczkowo-wkładowa naszych artystów zawiązała się pod szczęśliwą gwiazdą i dotychczas miała powodzenie we wszystkim co tylko na swą korzyść rozpoczynała. Przybędzie jej tedy dochodu z wystawy i z maskarady z tombolą, i zapewne z niejednego jeszcze źródła publicznego.

Dbają o to gorliwie i starannie kierownicy tej instytucji.

W dziedzinie sztuki mamy również wystawę odrębną, a godną zwiedzenia; jest nią wystawa prac i twórczości jednego talentu, jednej specjalności.

Niedawno w salonach pana Krywulca malarz, p. Wiesiołowski, zebrał kolekcję swych olejnych obrazów; obecnie Juliusz Fałat rozwiesił tam na stalugach około stu swoich akwareli.

Dobry to pomysł takich zbiorowych wystaw jednego pędzla.

Cały talent artysty roztacza się przed okiem widza i krytyka, jak tęcza; można porównywać etapy rozwoju i postępu, można wszechstronnie poznać indywidualność artysty.

Juliusz Fałat wyrobił sobie dzisiaj imię pierwszorzędne; jest to akwarelista niepospolity, którego zagraniczna krytyka oceniła bardzo wysoko. Przytaczam to umyślnie, bo wiem, ile obce uznanie naszych talentów ma jeszcze powagi u publiczności; zagraniczna plomba u towarów, zagraniczna reklama przy talencie imponują najbardziej.

— Czy to kawaler? — słyszę znowu zapytanie nadobnej miłośniczki sztuki, która w Niedzielę każdą bywa na wystawach.

— Kawaler, w kwiecie wieku.

— Przystojny?

— Tak pani; ciemny szatyn, śniadej cery, smukły, doskonale prezentuje się w salonie; ma łuje i tańczy, jest zapalonym myśliwym i turystą, odbył podróż naokoło świata, zwiedził Hiszpanię, Francję, Włochy, w Szwajcarii był technikiem i cyrkiel porzucił dla pędzla...

— Oh!... to interesujący człowiek.

Jestem przekonany, że po tej prezentacji, wystawa obrazów Fałata tem większego nabierze interesu dla moich czytelników.

Ale na wystawie sam talent artysty i okazy twórczości obejdą się bez wszelkiej reklamy. Wistocie, podziwiać trzeba technikę, sposób malowania, świetny, żywy, soczysty koloryt, rysunek zawsze poprawny, naszego akwarelisty i tę swojską typowość wszystkich jego prac, malowanych w kraju, a pełną różnorodności charakterystykę w kartonach, przywiezionych z podróży po szerokim świecie.

Kto ma choć trochę pojęcia o malowaniu wodnymi farbami, o trudności wydobycia jędrnego, głębokiego tonu w kolorycie, ten z podziwem patrzeć musi na te świetne akwarelle, robiąc często złudzenie olejnych malowideł.

Możnaby je powiesić obok najcenniejszych prac w tym rodzaju, włoskich, angielskich i francuskich mistrzów, którzy dzisiaj do doskonałości doprowadzili sztukę malowania wodnymi farbami.

Wystawa akwarel Fałata ma trzy działy: w pierwszym znajduje się „Album,” w którym przedstawione są ważniejsze momenta łowów na niedźwiedzie, jakie przed dwoma laty urządzał ks. Antoni Radziwiłł dla ks. Wilhelma pruskiego w Nieświeżu; w drugim studia z podróży po Hiszpanii i naokoło świata, wyborne szkice i obrazki ze Wschodu, z Japonii; w trzecim wreszcie dawniejsze prace artysty, typy ludowe, pejzaże, rodzajowe sceny, któremi zapełniła się jego teka podczas wycieczek letnich na Żmudź i Polesie.

Ogółem tych kartonów, szkiców i obrazów, pomiędzy którymi są akwarellą robione figury naturalnej wielkości, będzie około 100.

Na brak pięknych wrażeń uskarżać się przeto nie potrzebujemy.

W przerwach skocznej muzyki karnawałowej, odzywają się tony skrzypiec lub fortepianu, na estradzie staje Gregorowicz, Adamowski, albo pani Annetta Essipow siada przed klawiaturą, która pod jej aksamitnymi paluszkami śpiewa uroczym; na scenie zawsze jeszcze żegnana co wieczór prawie, a witana co drugi, p. Russel tryluje arye Verdiego, Belliniego lub Gounod'a, zastępując nam nasze stałe primadonny. Powiedz duszo muzyczna, żadna wrażeń i dreszczów rozkoszy, czegoż ci jeszcze potrzeba!...

Z Wiednia przyjechał Edward Schütt, kompozytor koronkowych walców i piosenek, którymi Grünfeld za ostatnim pobytem i p. Essipow czarowali słuchaczy; przyjechał do grodu melomanów przedstawić się w roli twórcy i wykonawcy własnych utworów.

Za kilka dni Zofia Menter zjedzie do nas z trzema koncertami; przywiezie, jak zwykle, dużo dowcipnych anegdotek, swego ulubionego kota w koszyku i najbardziej sensacyjne nowości muzyczne.

Nazwano ją „Lisziem w spódnicy;“ u nas ma takich samych wielbicieli swego atletycznego talentu, jak zagranicą; więc przewidywać można, że sala będzie pełna, jakkolwiek te koncerty zabierają nam sporo grosza z kieszeni.

Mieliśmy przez pewien czas sposobność zabrania bliższej znajomości z gromadką naszych dzikich bliźnich, którzy się popisywali w cyrku Schumann'a; byli to murzyni z plemienia Aszanti; przed rokiem dopiero porzucili swą ojczystą Afrykę i podróżują dla dziwowiska białych ludzi, nad którymi mają tę wyższość, że podczas mrozów naszych obywają się na arenie bez wszelkiego okrycia, chodzą boso i zjadają papierosy, jak karmelki, zamiast je palić.

• Przyznam się, że przykre wrażenie zrobiła na mnie ta ludzka menażeria, i że pomysł obwożenia po świecie ludzi, chociaż w stanie napół dzikim, pokazywania ich za pieniądze, jak zwierzęta, wyzyskiwania ciekawości tłumów w ten sposób, wydał mi się niegodnym.

Lubię w Muzeach etnograficznych patrzeć na woskowe figury, przybrane w kostiumy oryginalne, na broń i wyroby dzikich ludów, na wizerunki murzynów, etyopczyków, papuasów, e *tutti quanti*, ale nie lubię tego cywilizowanego gapiowstwa po budach jarmarcznych, po cyrkach i ogrodach zoologicznych, gdzie biedne dzieci natury służą swoim szczęśliwszym, bo oświeconym braciom za zabawkę na równi z małpami i niedźwiedziami.

Kiedy dzicy napadną na swoim terytorium białego podróżnika, zawloką go do swojej oady i zaczną mu się przyglądać, skakać, tańczyć i wrzeszczyć z podziwu, a w końcu zachciewa im się nawet skosztować jego mięsa, wtedy, czytając takie opisy, oburzamy się na barbarzyństwo tych ludów i w oburzeniu godzimy się nawet chwilowo z teorią Darwina, ale gdy my, świeczniki cywilizacji, coś podobnego robimy z Aszantami, lub Indyjczykami, to uchodzi, bo cywilizacja dała nam przecież prawo, którego... nie przyznajemy w tym względzie dzikim!

Mie wiem, jakim sposobem od murzyńskiego plemienia znaję przejście do mięsa, które stanowi dziś kwestyą nowych spekulacji ekonomiczno-handlowych, ale winienem zanotować, że „spółka mięsna“ coraz pomyślniej ma przed sobą widoki. Statystyczne wykazy podobno dowodzą, iż północna Europa od Bałtyku do Czerwonego Morza mogłaby trzecią część głodnych Anglików i Francuzów, Belgów, Niemców i Austriaków nakarmić befszytkami i kielbasami, i że tym mięsożernym smakoszom brak rzeźnego bydląt do konsumpcji. Pierwsze próbki zawiązania stosunków handlowych z zagranicą i pierwsze dostawy miały powodzenie, zatem należy przedsięwzięcie poprowadzić dalej i wyzyskiwać chwilę, o ile się da najkorzystniej.

Dla obywateli wiejskich wiadomość ta będzie zapewne pożądaną, bo w dzisiejszych warunkach, samym chlebem z roli wyżywić się niepodobna i gospodarstwa rolne podpieścić trzeba bądź-to przemysłem, bądź innymi przedsięwzięciami.

Mówiłem kiedyś o tem z pewnym młodym, ale dobrym gospodarzem, który idzie za postępem i pracuje od świtu do świtu prawie, aby tylko wygrzebać się trochę i „porosnąć w pierze“, jak powiada.

— Mój drogi — rzekł mi — wy, mieszcuchy, przy biurku, albo przy stole po obiadku, umiecie rozprawiać szeroko i długo o tem, co nas wieśniaków mogłoby poratować; to bardzo pięknie z waszej strony, że się tem kłopotacie. Wdzięczni wam jesteśmy, ile razy coś mądrego, albo uczciwego radzicie; ale te wszystkie wasze dobre rady u nas natrafiają na jeden szkopuł: są niewykonalne po większej części, dla braku środków. Ugryź-że bez zębów; zaprowadzaj amelioracje, rozwijaj przemysł rolny bez pieniędzy! Gotówki niema, sprzedać choćby co było, trudno, bo albo ceny niżej kosztu, albo zupełnie kupca nie znajdziesz, pożycz — to cię lichwa zgryzie, więc co robić?... Nie sądzicie, że się nam nie chce was słuchać; my poproście mamy ręce obwisłe, bo w rękę ani kija, ani postronka.

Jest w tych słowach bardzo wiele smutnej prawdy i wartoby było postawić pomnik temu filozofowi, któryby naszych obywateli nauczył „nalewać z próżnego.“

Nie, pomnika niech mu nie stawiają, bo gotów umrzeć poraz drugi z irytacji, choćby był najcierpliwszym nieboszczykiem.

Słyszeliście zapewne, że w Krakowie nagrodzono znowu trzech laureatów, ale praktyczny wynik konkursu rzeźbiarskiego na pomnik Mickiewicza znowu będzie wątpliwym.

Pierwszą nagrodę przyznano p. Cyprianowi Godzkiemu z Paryża, który do spółki z architektem Bittnerem wykonał projekt podobno wspaniały pod względem efektu i rozmiarów, ale ponieważ koszt wyniosłby pół miliona guldenów, więc projekt musi pozostać projektem tylko. Siedzącego Mickiewicza wieńczy na nim jeden geniusz, a drugi, na skrzydlatym pegazie, zdobi fronton pomnika i podaje także wieniec poecie.

Drugą nagrodę otrzymał p. Rygiel; podobno pomysł jego najlepiej nadaje się do wykonania, ale również wymaga pewnych poprawek; trzecią przyznano profesorowi Gadomskiemu.

Pan B. Łaszczyński, zdając sprawę z konkursowej wystawy krakowskiej, pisze w *Gazecie Warszawskiej*: „Z nadesłanych projektów do wykonania, nie wybrałbym żadnego — chyba w poprawnej formie projekt Rygiela *Mariar*; ale radziłbym raczej wybrać trzech lub czterech autorów najlepszych tegorocznych projektów i tych kilku tylko do ponownego zaprosić konkursu. Przytem konieczne należałoby odpowiednie każdemu z konkurujących, zapewnić wynagrodzenie pieniężne, bo wykonanie modelu pochłania czas i pieniądze, a większości naszych artystów nie stać na tak kosztowne experimenta.“

Jeżeli tę radę podzieli większość komitetu, będziemy mieli nowy konkursik na widoku, nową zwłokę, nowy wydatek i nowy temat do publicznej dyskusji.

Na zakończenie, jak najczęściej, stawiam znów krzyżki. We Lwowie zmarł stuletni prawie starzec s. p. Witalis Smochowski, znakomity swego czasu tragik i dyrektor tamtejszego teatru, talent świetny, wielki, wyjątkowy w swoim zawodzie; był nestorem aktorów polskich; przed laty pięćdziesięciu tryumfował w każdym występie na scenie.

W Warszawie złożyliśmy do grobu rodzinnego pracownika starej daty, s. p. Wincentego Majewskiego, mecenasa, jedną z najpopularniejszych osobistości naszego miasta. Miał ogólną sympatię wpośród nas, zdobył ją sobie prawością charakteru i zachością w służbie publicznej zarówno, jak w stosunkach prywatnych.

Był to jeden z tych „naszych starych“ a dzielnych, od których można się było uczyć tęgości, wytrwałości, pracy i teorii pożytecznego życia, zastosowanej do praktyki.

Ileż umierają starcy, mimowoli spoglądamy dokoła na młodych, z pytaniem w duszy: „Kto ich zastąpi?...“

Quis.

GDZIE PIĘKNOŚĆ?

SONET.

Ty mnie nie pytaj: gdzie piękności droga?
Od wieków ludzkość natchnieniem ją goni;
Wzrok nie wymierzy jej, pieśń nie wydzwoni:
Ona wylata w bezmiar z ręki Boga.

Czasem u słońca wstającego proga
Mignie pochodnią jutrenkową w dłoni,
Zakwitnie kwiatem, lub w błękitów toni
Błyśnie na chmurach jak strzała złowroga

Ty mnie nie pytaj: jak do niej daleko?
Ja ci jej granic określić nie mogę,—
Ona się nie da wziąć żadnym rozkazem...

Szukaj jej w sercu, w lesie, ponad rzeką,
Tam każdy motyl pokaże ci drogę
I kwiat ci każdy będzie drogoskazem.

Szczęśnu

ŻYCIE I PRACA.

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

Negatywam przymiotem pracowitości jest to, że broni przedłem. Człowiek pracujący nie bywa wystawianym na jego pokusy, bo nie znajdują one chwil odpowiednich, aby doń przystąpić. Lenistwo należy do najniebezpieczniejszych przywar człowieka; leniwy jest wśród społeczeństwa liczbą jedynie—jest w niem martwością i ciężarem: spotrzebowywa, a nie pracuje, szpeci a nie zdobywa. „Droga leniwa jest płotem cierniowym—mówi Salomon—lenistwo ruinuje budynki, przez próżniactwo rąk dom upada.“ Pracowitość jest najlepszym stróżem niewinności i cnoty. Jest to krata żelazna dla wszelkiego rodzaju grzechu i występku, zamykająca mu przystęp do głowy i serca, niewpuszczająca tam okazyi i pokusy złego.

Jeżeli jesteśmy bogaci, pracowitość jest nam potrzebną, abyśmy mądrze zarządzali dobrami naszymi, nie tylko na własny i rodziny użytek, ale na korzyść społeczeństwa. Jeżeli posiadamy szacunek ludzki i używamy dobrej sławy, pracowitość pomoże nam do utrzymania się na tem podniosłym stanowisku i da z nas dobry przykład dla innych. Najszlachetniejszy ród, najdostojniejsze pochodzenie nie odbiera obowiązków i nabytków pracowitości. Jeżeli ktoś uczyni przywilejem swoim lenistwo, przywilejem jego będzie zarazem nieszczęście, bo nie będzie on już przedstawiał między ludźmi żadnej wartości i żadnego pożytku—nie będzie służył ani Bogu, ani ludzkości, więc nie posiędzie żadnego tytułu do szczęścia. Izaak Barrow nazywał człowieka zajmującego wyższe miejsce w społeczeństwie włodarzem bożym, bo tacy ludzie mają więcej danych sobie środków i sposobów kierowania się górną drogą cnoty i dobra publicznego.

Mają oni odwagę, którą wyrabia zajmowane przez nich położenie w świecie, i nawyknięcia ztąd wypływające; mają wykształcenie i korzyści dobrego wychowania—mają pomoc w stosunkach zamożnych krewnych i przyjaciół, mają bogactwo, mają zaszczyty, władzę i moc jej wykonywania. Człowiek tak postawiony w życiu po-

siada wolną wolę w pracy i odpoczynku, posiada mnóstwo szacownych i pożytecznych uzdolnień, nie na to mu danych, aby je spowinał i pogrzebał—nie na to również, aby ich używał dla zadowolenia osobistego w życiu prywatnem, ale na to, aby służył niemi Bogu i ludzkości. Ostatecznie ten tylko okazuje się człowiekiem szlachetnego rodzaju, który ma dość serca, aby podejmował ciężkie brzemiona pracy dla dobra publicznego i znoił się własnowolnie dla bliźnich swoich. Praca tych ludzi szlachetnych, choć ni by nie tak dolegliwa, może być przecież i bardzo twardą i bardzo wyczerpującą. Bo nie tylko praca ręczna jest ciężką i narzędziami pracy nie jest jedynie pług, młot, rydel i łopata. Głowa może się spracowywać w pożytecznych dla ludzkości myślach; dobra rada, szerzenie dobrych przekonań, zbudowanie w nocy, umocnianie w niej—jest też pracą i pracuje człowiek, który dąży do dobrego, a to jest wielki dział pracy, który przypada na ludzi ciężką pracą na chleb nieobarczonych. Obowiązują ona jako taka, i moralny nakaz, czyniący każdemu człowiekowi z pracy powinność, rozciąga się i na ten jej zakres.

Często ludzie łączą pojęcie wyższości z zasługą. Dorożkarz londyński, dostawszy podwójną zapłatę za kurs, mówi o dającym:—To mi szlachetny pan!... a kiedy o Walter Scocie, zwiedającym Irlandyę, kobieta służąca mu za przewodnika, dowiedziała się, że to poeta, oddała poezią dyabłu, dodając przecież, że podróżny ów szanowny jest i szlachetny, ponieważ dał jej pół korony! I ludzie klas wyżej oświeconych łączą nieraz pojęcie dostojności człowieka z posiadaniem przezeń pieniędzy, czyniąc je miarą, według której go szacują, co tu jest już nędzą ducha.

— Co to jest być człowiekiem szlachetnym? Thackeray odpowiada:—Jest to być uczciwym, jest to być delikatnym, jest to być wspaniałym, odważnym, mądrym i posiadając te wszystkie przymioty, wykazywać je w sposób najbardziej miły i uprzejmy... Dawniej wyliczano dwanaście cnót, obowiązujących prawdziwie szlachetnego rycerza: wierność, miłość, sprawiedliwość, zdrowy rozsądek, roztropność, wstrzemięźliwość, stałość, prawdziwość, hojność, pilność, nadzieja i waleczność.

Smiles dodaje od siebie tolerancją—uszanowanie uczuć i przekonań innych ludzi.

Człowiek dostojnie szlachetny: „gentleman“ w języku angielskim, nie należy wyłącznie do żadnej klasy towarzyskiej i nie nadaje mu tego tytułu żaden stopień. Czy szlachcic, czy gbur jest z pochodzenia—nie stanowi tu żadnej różnicy. Każdy człowiek powinien być łagodnym, grzecznym, delikatnym—powinien być tolerantem i wyrozumiałym. Znajdujemy nieraz te przymioty pod namiotem Araba i w chacie wieśniaka, który orze pole swoje. Grzeczność jest przymiotem wrodzonym, naturalnym: jest względnością dla ludzi, uszanowaniem ich bez służalstwa i fałszywości. Majątek i wyższe położenie towarzyskie nie jest koniecznym warunkiem szlachetnych przymiotów delikatnej układności. Na najniższym szczeblu hierarchii towarzyskiej żyjący człowiek może być dostojnie szlachetnym w duchu i w jego wyrazie, bo może być uczciwym, prawdomównym, sprawiedliwym, wstrzemięźliwym, odważnym, szanującym się i umiejącym sobie radzić. Człowiek ubogi, którego umysł jest obdarowany bogato, będzie zawsze wyższym od bogacza uboższego duchem i można to określić słowami Ś-go Pawła, iż ten, jakoby nie niemający, posiada wszystko, gdy inny, ni by wszystko posiadający, nic nie ma...

Tylko ubodzy duchem są rzeczywiście ubogimi. Człowiek bogatego ducha zyskuje sobie zawsze stanowisko i znaczenie wśród świata i zwolnionym zostaje z grubych, fizycznych prac na utrzymanie życia. Tacy też mają jedynie prawo nazywać się szlachetnymi.

Jest wrodzona szlachetność i dostojność, oparta na zacności i wspaniałości duchowej, a tę znaleźć można w najniższych warstwach społeczeństwa, jak świadczy ów chłop Chauieer'a, który żył w spokoju doskonałej uczciwości, kochając Boga całym sercem, tak w szczęściu, jak w nie-

doli, a sąsiada swego, jak samego siebie“ i który pracował:

„Dla miłości Chrystusa i człeka ubogiego Bez zapłaty, a tylko według sił zdrowia swego...“

Delikatność w obęjściu się z ludźmi, jest ostatnim rysem, wykończającym obraz szlachetnego charakteru. „Wdzięczny układ—pisze Emerson—jest może rzeczą ważniejszą, niż piękne kształty i sprawia ludziom większą rozkosz, niż widok pięknych posągów i obrazów. Ci, którzy posiadają tę zaletę, ożywiają pomiędzy ludźmi siłę sympatycznego pociągu i chrześcijańskiego socjalizmu.“

Prezydent Stanów Zjednoczonych, Quincy, tak był grzeczny i delikatny dla wszystkich, że nie umiał znaleźć sobie innych form obęjścia się z najniższymi, jak z najwyższymi. Gdy raz jechał do Cambridge tak przepełnionym omnibusem, że najpóźniej wsiadająca Murzynka już nie mogła znaleźć miejsca, aby usiąść, on się podniósł zaraz i, ustąpiwszy jej swego miejsca, przez całą drogę stał na platformie. Był to milczący wyrzut, uczyniony jadącym mężczyznom, że nie umieją szanować płci słabszej, gdy kobieta nie należy do wyższych klas społeczeństwa. Mawiał też zawsze, że grzeczność dla ludzi jest w nim najpierw uczuciem instynktownem, następnie zasadą.

Grzeczność można uważać za pewien rodzaj straży bezpieczeństwa, która pilnuje ostrych kantów natury naszej, aby nie urażały innych. Prawdziwie uszlachetnionym człowiekiem był ten, od którego wyszło zdanie, że lepiej jest dać komuś sześć pensów fałszywych, niż powiedzieć mu mało grzeczne słowo. Urodzenie, choćby najdostojniejsze, niekoniecznie łączy się z prawdziwą szlachetnością w czynie i obęjściu, jeżeli tylko charakter uszlachetnionym lub z natury szlachetnym nie będzie—jeżeli poziomość, tchórzostwo i lenistwo tkwią w nim na dnie.

Pochodzenie może przecież wywierać swój wpływ uczniający i wywiera go niewątpliwie, jeżeli wspomnienia wielkich czynów, wielkich cnót przodków przedstawiają się młodzieży, jako wzory do naśladowania, wkładające na potomków obowiązek utrzymania sławy i zacności rodu swego wśród świata. Lord Henryk Sidney mawiał często synowi swemu Filipowi, że szlachetność rodu z którego pochodzi, wkłada nań obowiązki, których się wyrzec nie może, bo w takim razie w dziejach rodziny zapisanymby został jako *labes generis*, co jest najcięższą hańbą, jaka może spotkać człowieka, idącego z rodu ludzi uczciwych. I wpłynęło to na podniesienie charakteru, który nie zdawał się ukazywać z początku rysów wyższej szlachetności. Smiles pisze, że nigdy w Anglii zapomnianym nie zostanie czyn sir Filipa Sidney'a; napojenie wodą rannego żołnierza na polu bitwy pod Zutphen i przytacza słowa, jakie mu powiedziano nad grobem, że nigdy w jego życiu dobro własnej osoby, własny interes, miłość dla żony i dzieci nie przeważały nad obowiązkiem honoru i służbą dla ojczyzny.

Nie zamykając się w kole tylko wielkich rodzin, ale czerpiąc z historii różnych krajów i różnych warstw społecznych dowody, jak wpływ uczciwej rodziny, jak jej tradycje cnoty i godności moralnej oddziaływają na dzieci, autor przytacza wspomnienie Tomasza Carlyle'a w czasach wysokiej już sławy pisarskiej: wdzięczne pełne najwyższe miłości wspomnienie jego o ojcu wiejskim mularzu: „Szlachetny to jest kunszt, mularstwo. Dobrze postawiony budynek trwa dłużej, niż większość książek, dłużej niż jedna na milion! Chcę się uczyć od niego—chcę tak pisać książki, jak on budował domy, i tak, jak on, przejsz bez nagany przez ten świat, aby (jeżeli Bóg pozwoli) złączyć się z nim na koniec...“ „Czuję świętą dumę z tego mego ojca chłopca i nie zamienilibym go na żadnego ze znanych mi królów. Niechże podziękuję Bogu za to największe błogosławieństwo—niech zdołam życiem mojem odpowiedzieć mu...“

Smiles przytacza długi szereg wielkich ludzi, poczynając od Platona i Pitagorasa, wyszłych z rodzin pomieszczonych tak nisko, jak rodzina

Carlyle'a, na drabinie społecznej i pisze: — „szlachetni nie zawsze pochodzili z uszlachetnionych.”

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg)

Słońce właśnie zachodziło. Kula ognista spuszczała się już poza lasy, a powietrze było pełne łuny złocistej, odbijającej się na wszystkich wypukłościach, gdy cienie zdawały się ciemniejszymi i głębszymi. Ogród cały układał się dla oka w ładne, spokojne linie; Jadwiga szła nieco przodem, bo Stanisław z umysłu pozostawał krokiem w tyle, aby lepiej patrzeć na nią, ogarniać wzrokiem jej wysmukłą, wyniosłą kibić. Nie była od niego niższą więcej niż o głowę, i on pomyślał nagle, że byli jakgdyby stworzeni dla siebie. Był nawet moment taki, w którym chciał jej to powiedzieć — powiedzieć jej wszystko: że był winny, ale i nieszczęśliwy, że rozstawał się w tej chwili z całą przeszłością i z tem, co mogłoby być stać się przyszłością szczęśliwą!... Patrząc na nią, gdy szła przed nim, postać wdzięczna i harmonijnie piękna w każdym ruchu swoim, chciał jej to powiedzieć; ale duma zamknęła mu nagle usta, bo czegożby chciał od niej przez to wyznanie?

Czy litości? Nie... toby mu było znieść już najciężej. — A może nawet nie otrzymałby i tego, może przyznałaby słusność ojcu nie jemu — słabej, nędznej istocie, gdy kobieta, czem szlachetniejsza, tem większej siły ducha żąda od mężczyzny, aby mogła się na nim oprzeć i mieć go za przewodnika drogi swojej. Wkrótce też znaleźli się przed gankiem, na którym czekali już na nich tylko z herbata i lekką kolacją, która jej towarzyszyła, a Jadwiga przysunęła się zaraz do samowara, jakgdyby tu była gospodynią, a spostrzegłszy, że herbata już jest zaparzona, zwróciła się do p. Andrzeja z miłym, pełnym słodyczy uśmiechem. — Wyręczyłeś mnie pan... — rzekła, a Stanisław odwrócił się szybko do kapitana i zadał mu jakieś pytanie, dotyczące polowania. — Będzie w tym roku dość bekasów — rzekł — wiosna przyszła wcześniej i trawy są wysokie.

Kapitan zaczepiony został w kwestyi, w której uważał się za znawcę, mogącego wyrokować, i opowiadał też Stanisławowi wszystkie prognozy myśliwca, co do bekasów, kuropatw, przepiórek, a ten go słuchał tak uważnie, jakgdyby cała jego myśl była zwrócona w tym kierunku. Przecież usłyszał natychmiast, gdy Jadwiga odezwała się do niego z zapytaniem: jaką herbatę pije?

On byłby chciał jej odpowiedzieć: — Nie chcę od ciebie żadnej... i byłby chciał jej odpowiedzieć: Piłbym z twoich rąk piólu... ale ona posadziła go o brak decyzji i podała mu filiżankę już nalaną. — Może utrafiłam przypadkiem — rzekła też z uśmiechem swym powabnym i rzeczywiście tak było, a ten drobny przypadek dziwnie ścisnął serce Stanisława: utrafiłaby mu tak we wszystkim... we wszystkim... Poszedłby z nią przez życie ręką w rękę i nigdy w tej drodze nie dwoje nie stąpiłoby na żaden kamień, na którym pośliznąć się można....

Goście odjechali szarym mrokiem. Obyczajem wiejskiej gościnności gospodarz wyprowadził ich na ganek i z ganku jeszcze sprowadził Jadwigę do powozu. Był to lekki, odkryty wolant, którego fartuch koło niej zapiął i dostał za to do

uścisku białą, w rękawiczkę nieobeściętą rękę pięknej panny, która przecież po przez jego głowę spoglądała też na Stanisława, stojącego na górnym stopniu ganku. Wraz ze spojrzeniem rzuciła mu uśmiech i lekkie głowy skłonienie.

— Do zobaczyska — zawołał kapitan, także do niego, choć można mu było zarzucić, że nie był dość gościnnym vice-gospodarzem, że trzymał się sztywno na stronie. Ojciec mu to nawet wymawiał, gdy konie ruszyły, a oni dwaj znaleźli się teraz w ganku sam-na-sam. — Oduczyles się naszych form grzeczności — rzekł mu z wymówką. — Może przestarzały się i nie praktykują już gdzieś, ale my jeszcze się ich trzymamy. Jeszcze zegnamy tak naszych gości, aby widzieli żeśmy ich chętnie przyjmowali, a zwłaszcza, gdy są tacy, którzy na uszanowanie ze strony młodzieży zasługują.

— Kapitan jest dla mnie nie tylko dobrym i dającym znajomym, nie tylko sąsiadem, którego lubię, bo uczciwy, ale mam dla niego uszanowanie, jak dla relikwii, a panna Jadwiga zasługuje też ze wszech miar nie tylko na grzeczność uważną. Szlachetna dziewczyna!... mogłaby u ciotki używać wygód, jakie daje dostatek; żyć w kole stosunków odpowiedniejszych jej pod względem wszelkim; ona przecież zamyka się na małym folwarczku z ojcem starym, dla którego jest prawdziwą Antygona!

— A jak tklawie, jak wdzięcznie to wypełnia! Jak mu służy z poświęceniem i zaparciem się młodości swojej... Warta też jest, aby jej z uszanowaniem podać rękę i podsadzić do starego, trzęsącego wolanta...

— Ojciec to zrobił — rzekł Stanisław głosem, który usiłował czynić chłodno obojętnym.

— A dlaczego tyś nie zrobił? — zapytał p. Andrzej, a czuło było, że ta odpowiedź gniewem go zdejmuję. — Czy nie jest dość panią dla ciebie i nie dość piękną?

Ja przyznać się muszę, że jeszcze śliczniejszej, miłszej, bardziej dynstygowanej panny nie widział w żadnym arystokratycznym domu, i nigdzie, nigdzie — dodał.

W tej chwili syn spojrzał mu żywo w twarz, można powiedzieć badawczym, śledzącym wzrokiem, a przez usta młodzieńca przemknęło coś, jak uśmiech ironiczny.

— Zgadza się na gust ojca — rzekł przecież.

P. Andrzej szybko się na niego obejrzał. — Mówisz to ironicznie — zawołał. — Czy tak?... —

Nie... panna Jadwiga jest niezaprzeczenie piękna i ma wdzięk szlachetny, — temu nie zaprzeczam.

Ojciec popatrzał na niego, nie mogąc go zrozumieć. — Więc to tylko układ angielskiego gentlemana tak ci kazał trzymać się sztywno i z daleka. Radzę ci, abyś go u nas porzucił, bo go sobie ludzie, zwłaszcza na wsi, wyłomaczyć nie potrafią i przypiszą innej przyczynie.

— No, chodź — dodał już łagodniej. — Może jeszcze wypijesz filiżankę herbaty i zjesz co...

— Dziękuję ojcu; jadłem obiad późno.

— Aleś już zdrow? Głowa cię nie boli?... Zdaje mi się, że wyglądasz lepiej, przespawszy się...

Syn nie zwrócił uwagi, że słowa te mogła dyktować tylko troskliwość, że mogły wypływać tylko z rodzicielskiego uczucia, z rodzicielskiej niespokojnej obserwacji. — Nie czuję się chorym — odpowiedział obojętnie; ale siłą się już tylko na obojętność dodał: — Jutro chciałbym wyjechać wcześniej, to jest nie późno... koło dziewiątej, jeżeli nie zrobi to ojcu subiekty...

— Jutro... koło dziewiątej — powtórzył p. Andrzej i wpatrzył się w syna wzrokiem, który był smutny i poważny. — Spieszysz się, czy masz sprawę terminową...

— Tak, mam sprawę terminową, której nie mogę odkładać, bo mogłaby stracić na zwłoce. Jeżeliby ojciec był łaskaw dać mi koni do miasteczka, to prosiłbym mniej więcej o tym czasie, ale może będą zajęte...

Ojciec nie odpowiedział mu nic na to pytanie, które przy jego stanie gospodarstwa, przy jego tajni, było albo nieuważne, albo z wyrachowa-

nym celem powiedziane. — Dobrze... będziesz miał konie, kiedy chcesz — odpowiedział chłodno.

Ze w sieni czekał wódz, odnoszący klucze od gumna i mający odebrać dyspozycję pańską co do jutrzejszych robót w polu, Stanisław wziął to za pretext, aby, gdy tam weszli z ganku, ojca pożegnać. — Jaktó!... idziesz już spać? — zawołał p. Andrzej żywo.

— Ojciec jest w tej chwili zajęty, nie chcę przeszkadzać.

— Dobra noc — rzucił mu p. Andrzej krótko i sucho.

Gdy Stanisław był na połowie wschodów, wiodących na górę, to jest tak już wysoko, że go z dołu widzieć nie było można, przystanął i ścisnął sobie głowę oburącz. Nie kłamał, odpowiadając ojciec, że go ta głowa już nie boli, niemniej pękała ona od myśli bolesnej, dokuczliwej mu w niej świdrującej, niż migrena, która rano biła mu w skroniach pulsami krwi gorącej.

— Ach! — jęknął — ach!!

W tej samej chwili ojciec, stojąc w swoim pokoju przed biurkiem, na którego otwartą klapę położył wręczone sobie klucze, podnosił rękę do czoła, a z piersi wydobyło się równie bolesne, głucho stłumione: — Ach!...

Dmuchał potem na świecę stojącą na stole i wydawał dyspozycję już tylko przy blasku księżycy, który był w samej pełni i wzbijał się w tej chwili wysoko ponad drzewa ogrodu, napieniając pokój swoim srebrnym światłem.

Gdy Jakób, który czekając na pana, drzemał po bezsenną noc w kącie pierwszego pokoju, usłyszał go wchodzącego, zerwał się na równe nogi. — A... czy to już świta? — zawołał, złudzony światłem księżycowym, lecz gdy Stanisław powiedział mu która godzina i dodał, że chce się wcześniej położyć, bo jutro rano wyjedzie, stary od razu się ze snu wytrzeźwił: — Jutro!... jutro pan już jedzie i zaraz zrana! — zawołał ze smutnem podziwieniem.

Stanisław szybko przeszedł do drugiego pokoju, ale on pociągnął za nim. — O! czy to dobrze, iż pan tak przedko wyjeżdża — zapytał. — Pan starszy pewnoby chciał, abyśmy dłużej tu zostali...

— Nie mam czasu — odparł Stanisław krótko. — Muszę jechać.

Jakób przysunął się do niego bliżej:

— Panicu — rzekł, używając wzruszony dawnej nazwy — panicu, dziecku nie godzi się na ojca gniewać, dziecko powinno ojcu nawet karzącą rękę całować...

Stary Jakób o całym stosunku syna do ojca wiedział. Stanisław należał do tych natur uczuciowych, może miękkich, które w pewnych chwilach ciężkiego żalu zamknąć go w piersi nie umieją, a Jakób nie był dla niego służącym tylko, ale kimś, co go chłopcem małym na kolanach swych huśtał, i któryby dziś dał się za niego zabić, rozsiekać, to też wieczorem dnia tego, gdy od mecenasa Henryka wrócił — gdy ugode zrzeczenia się dziedzictwa ojcowskiego podpisał, równie jak teraz pociemku, i tylko przy bladej łunie, lecz nie księżycy już, ale gazu, wszystko mu wypowiedział. — Wydziedziczony jestem... — mówił, po pokoju w kółko chodząc — wyrzucił mnie ojciec z gniazda, jak ptaki płód cudzy...

Wtedy stary Jakób ręce łamał, za głowę się chwytając, w duszy na starszego pana mocno sarkając, ale teraz stanął przed Stanisławem poważny, jak patriarcha. — Będziesz czcił ojca i matkę swoją, abyś długo żył na ziemi... — rzekł mu upominająco.

— A czy ja chcę żyć długo?... — zawołał Stanisław namiętnie.

— A czy to nie posłuszeństwo jest, nie uległość dla woli rodzicielskiej, skoro się ją przyjmuje tak, jak ci rodzice chcą? — dodał z gorzką ironią.

— O nie... nie... — odparł Jakób. — Panu należy się starszego pana przeprosić, należy się synowi dla błogosławieństwa boskiego na tym i tamnym świecie gniew ojcowski przebłagać. A kto wie, czy nie po to starszy pan do siebie nas tu wezwał? Po to... po to, jak Bóg jest w niebie... a jak dla pana obiad dysponował...

— Widziałem też, jak na pana z boku patrzył, troskliwie, po ojcowsku, gdy do śniadania panowie siedli—widziałem...

Stanisławowi przypomnienie troskliwego jednak zajęcia się nim ojca trochę serce wzruszyło i zaczął popokoju tam i napowrót niespokojnie chodzić, ale uczucie łagodniejsze nie trwało w nim długo. — Nie... — rzekł sobie w końcu—on jest mocny i szlachetny, jasłaby i ility; może też ma słuszną postępować ze mną tak, jak postępuje—tak jak natura w świecie fizycznym. Nędzne osobniki niech przepadają, niech nie zajmują miejsca lepszym, doskonalszym... Jest to sprawiedliwość i dążenie do ideału i ja powinienem być t.k. eliminowanym, usuniętym z tego starego gruntu, który niech obejmie w posiadanie ktoś lepszy, ktoś dzielniejszy... Ojciec ma za sobą słuszną moralną i jej prawo...

— Zimne, surowe, niemilosierne prawo... — dookończył w nim z goryczą głos drugi—prawo przeciw któremu miłość rodzicielska nie postawiła przecież opozycji...

— Chodźmy spać mój stary... — zawołał naraz na Jakóba—jedziemy jutro o dziewiątej.

— O paniczku... paniczku! — jęknął Jakób i ścigając Stanisławowi buty—płakał.

Czy ostatnia noc wydziedziczonych pod dachem rodzicielskiego domu ukoła go, jak matka zmęczone, chore dziecko? Nie... Stanisław oka z nów nie zamrużył i przebywał wciąż, przebywał po tysiąc razy te dwie fazy zmieniających się, jedno po drugim przychodzących uczuć: to rozczulenia się i wspomnień czułości, dobroci ojca dla niego, odbieranych od dziecka, to bolesnego rozdrażnienia i przeświadczenia, że tamto dawne — tamta miłość, tamto przywiązanie ojcowskie prysło, jak szkło rozbitego naczynia, które padło na twardy kamień. — Kochał, ale już nie kocha teraz — powiedział sobie ostatecznie, a może najgłówniejszem wśród tego przekonania czynikiem była myśl, że ojciec chce sobie stworzyć nowe, niezawisłe od przeszłości istnienie. Ta piękna panna z szafrowemi oczyma i greckiem czołem — ta piękna panna z niskim, muzykalnym głosem, stanie tu, w tym starym dworze, jako gospodyni domowego ogniska, która będzie szerzyć wokoło blask i ciepło, a on — wygnaniec, pójdzie w świat...

Zerwał się po bezsennej nocy tak rano, że ledwo świt zarumienił niebiosy i poszedł w pole, na łąki, w las — poszedł pożegnać się na zawsze z tem wszystkim, co od dziecka nauczył się uważać za własność swoją, choć, jak mówił sobie pośpiechu, nie przyniósł tu dotąd nic, wkładu żadnego, a brał, brał ciągle — brał od dziecka bogactwo łamiących się tu światła i cieni, blasków i kolorów, brał na muzykę duszy swojej grające tu głosy i tony, szumy lasów, echa przestrzeni, pieśń o ziemi naszej, śpiewaną przez szmery łąk, kołyszące się kłosa pełnymi, przez wiatr, wodę — a może i dusze tych wszystkich ludzi, tych wszystkich istot, które żyły tu kiedyś, pracowały, kochały, cierpiały — czuły miłość, wyznawały wiarę, wyciągały do nieba ręce po nadzieję...

Był już w lesie, kiedy zadzwonili na *Anioł Pański*; on podniósł oczy ku górze, chciał się modlić, przypominać sobie stare słowa, wpajane kiedyś przez matkę i Barbarę piastunkę, ale nie mógł nie mógł trafić do ładu, do porządku potrzebnego, i uczuł niewypowiedziany żal po stracie poniezionej — po tej zatraconej w pamięci modlitwie swoich lat chłopięcych. Dużo, dużo już w życiu swoim zgubił, a czy znalazł coś nowego, coby zastąpiło mu tamte straty? — Wydziedziczony! — jęknął i osunął się nagle twarzą na ziemię, całował ją — grunt stary i modlił się pocałunkami temi, które dawały ziemi rodzinnej usta jego gorące.

— Raz ostatni!... — powiedział sobie. Idąc dalej za biegiem rzeczki Trzcianki — małuskiego, ale bystrego i czystego, względnie głębokiego strumienia, powtórzył: — Raz ostatni...

Wyszedłszy na łąki usłyszał fujarkę pastuszą. Grała: dana!... dana!... dana!... gdzie moja kochana!... — a on zawołał znowu: — Raz ostatni!

Raz ostatni oglądał gniazdo ojczyste, raz osta-

tni poił się urokami jego wdzięków, jego muzyką. Żadnej kochanej nie miał tu przecież: miał tylko marzenie o niej — miał przecucie miłości, która mogłaby być urodzić mu się w sercu, ale się już nie urodzi. Wiedział w której stronie leży Zakrzewie i zwrócił się tam, oczyma: — Raz ostatni!... — rzekł — raz ostatni śniłem o szczęściu!

Przed siódmą był już z powrotem w domu, bo pamiętał, że ojciec o ósmej pije kawę. Już wtedy zwykle było to po obejściu przezeń gospodarstwa, po zajrzeniu, gdzie tylko potrzeba było wzroku gospodarza. Zmęczony, z przyjemnością siadał do stołu, jadł i pił ze smakiem — za trzech, jak sam o sobie mówił, a zwykle rozmawiał przytem wesoło i chętnie. Stanisław pamiętał że śniadania swojej młodości, swego dzieciństwa. Wtedy ojciec zwykle z nim rozmawiał, wypyttywał, czasem żartował z niego, ale nigdy nie zapytał go przy stole o lekcje i nawet nie dał mówić o nich. — Na wszystko czas... — przerywał temu, kto o tem zaczął. — Teraz odpoczynek i posiłek, potem praca i jej trud. Człowiek nie może być wiecznie wypreżony; najmocniejsza lina, z którą się tak dzieje, pęka.

Lina w jego maszynie życia pękła, zerwała się, choć może właśnie dlatego, że była leniwie obwieszona i on oto będzie dziś spożywał komunię domowego chleba — raz ostatni.

Wczoraj tak mizerny i znędzniały, dziś, przeciwnie, miał w oczach blask i na licu rumieniec; wszystka krew była w górze i ożywiła rysy twarzy, dawała nawet głosowi jakąś dźwięczność. Zrobił też ostateczne postanowienie i to wzmocniło go, bo już nie szarpał się w sobie, nie był rozdwojony sercem rozdartem na dwie połowy. Pożegna ojca z uszanowaniem, bo był o tyle uczciwym sędzią sprawy własnej, że w postępowaniu z nim ojca przyznawał mu słuszną — słuszną według litery surowego prawa: ząb za ząb, oko za oko... — kara za winę!

Gdy się spotkali u stołu, ojciec najpierw spojrzał na niego i spostrzegł, że nie jest tak przynięcionym jak wczoraj, nie tak mizernym, choć oczy były sino, prawie czarno podkrążone, jak gdyby je kto węglem podczernił. Stanowczy zawsze i idący wprost do celu, zapytał go zaraz na wstępie: czy nie zmienił projektu, czy jedzie dziś?

— Jadę — odpowiedział syn, a ojciec zadzwonił łyżeczką w szklankę. — Powiedz Benedyktowi, że młodszy pan jedzie tak, jak postanowił wczoraj — rzekł do służącego, który wszedł na to wezwanie.

Przez chwilę potem trwało między nimi milczenie. Syn pił herbatę, w którą się patrzył, ojciec kawę, też za gorącą, ale ciężko mu było wytrzymać długo w tym przymusie. — Czy nie uważasz mojego załatwienia sprawy między nami, za coś niesprawiedliwego, za coś, co jest mało słusznym i czy nie czujesz się pokrzywdzonym? — zapytał, patrząc bystro w oczy syna, a ten lekko drgnął, czarne rzęsy jego pięknych niebieskich oczu spuściły się, ale tylko na jedno mgnienie oka i głos, niezmienny w swoim tonie, odpowiedział, że nie... Ojciec miał prawo uczynić to, co uczynił — rzekł, siląc się na największy spokój. — Powiedziałem to mecenasowi Henrykowi, że bynajmniej nie protestuję i zapytany teraz przez ojca, powtarzam to samo...

— Szczerze?...

— Szczerze — powtórzył syn. Dorobek czło-wieka do niego należy, mogłeś go ojciec wydać w ciągu życia, więc możesz rozrządzać nim i w tej chwili. Zrobiłeś to, co jest ci dozwolone...

— Ale serce twoje, serce syna, czy nic na to nie mówi? — zawołał pan Andrzej żywiej. — Czy ci nie żal, czy bierzesz rzecz tylko ze strony materyjalnego zysku, lub straty, i sądzisz ją z tego punktu jako interes?

— Pozwól mi ojciec nie odpowiedzieć na to pytanie. Sprawa między nami, jak się ojciec wyraził, została mi przedstawioną z tego właśnie punktu interessu, i należy mi traktować ją, jako taką. Inne jej strony są przytem nieniętne... nie pochwytne... Obliczanie ich jest trudne, bo każdy może tu przynosić szacunek inny.

— Tak! ja kładę tu na szali pracę całego ży-

cia, jego trud, znój gorący i marzenia o przyszłości, które dla ciebie są... niczem!

Pan Andrzej był tak silnie wzruszony, że ręce mu drżały. Chciał ująć filiżankę z kawą, ale nie mógł, byłby ją wylał. Syn lepiej znosił ciężką przeprawę, ale i on był blady, jak ściana.

— Ach! — jęknął prawie ojciec — jak ja śniłem, jak ja marzyłem, jak układałem przyszłość i koniec mego spracowanego życia! Widziałeś wczoraj tę piękną, dobrą dziewczynę... widziałeś ją, tę czystą, wdzięczną, tę rozumną i szlachetną i czy wiesz, że matka twoja mówiła mi przez wszystkie lata ostatnie: — Ożeniemy z nią Stasia...

Na twarz Stanisława uderzyła fala krwi gorącej i uczuł jak gdyby olśnienie jakieś. Otworzył oczy jak lunatyk i spojrzał niemi w ojca.

— Ale nie — zawołał p. Andrzej namiętnie — nie... to były rojenia przeszłości. Teraz już-bym jej żałował dla ciebie.

— A jednak to było szczęście: ciche, spokojne, ale czara jego pełna i słodka... o! jak słodka — dodał.

Mówił to z tklivością i głosem zmienionym, łagodnym, jak gdyby miał przed oczyma widzenie jakieś rzeczy miłej i wdzięcznej. — Ha! — zakończył nagle, z bólem ciężkim w głosie — bańka mydlana uciekła w powietrze i rozprysnęła się.

Stanisław czuł, jak gdyby ojciec zanurzał mu w serce raz po raz coraz to głębsze pchnięcie noża. Jak on nim gardził!... jak on go odsądzał już od wszystkiego!

Ogarnął go nie już żal do ojca, ale gniew i ciężkie uczucie urazy. To, co nazywamy w człowieku złą stroną jego natury, zbudziło się w młodzieńcu i wczorajsze urojenia zazdrośne, przybrały nagle kształt wyraźny i oblekły się w ciało.

— Dlaczego ojciec sądzi, że bańka mydlana uciekła w powietrze? — zapytał szyderczo. — Marzenia nasze ziszczają się nieraz w formie innej, niż był zarys jej pierwszy, i tu tak być może. Niech ojciec w miejsce mnie, niegodnego p. Jądwi-gi, postawi kogoś — kogoś innego, na przykład siebie...

— Cicho — zawołał p. Andrzej gorąco uniesiony — cicho, abym nie zawołał: Zły synu!...

Zapanowało teraz pomiędzy nimi milczenie — przykre, uciążliwe milczenie, które ojciec przerwał pierwszy. — Daruję ci to, coś powiedział, bo nie wiedziałeś, coś powiedział... Nie znasz tego, co to jest uczucie ojca dla dziecka.

Ala może masz rację, że powinienem pomyśleć o mojej starości, aby nie była samotna... Masz może rację...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Styczniu 1888 r.

Jubileusz papieżki i u nas obył się donośnem echem. acz radość tego powszechnego święta u nas przyćmił smutek obecnego naszego położenia. Ze szczególów uroczystości rzymskich jeden zwłaszcza nabrał dla nas znaczenia. Kiedy Namieśnik Chrystusowy ubierał się do swej Złotej Mszy, podług pięknego włoskiego wyrażenia, przywdziewając bogate dary wszechświata, spostrzeżono nagle, iż zabrakło pectorału, iż nie przysposobiono kosztownego krzyża nadesłanego z Kolumbii. Wyższem tknięty natchnieniem, czy spólcuciem, Ojciec Święty, zamiast czekać aż mu przyniosą wspaniały dar amerykańskiej rze-czypospolitej, zażądał od kardynała Ledóchowskiego, aby mu tenże własnego ustąpił pectorału. I tak podczas mszy jubileuszowej, Leon XIII do serca przycisnął, na sercu nosił tensam krzyż, *crux de cruce*, dar Piusa IX, który krzepił w więzieniu ostrowskim i tęsknotach wygnania do-stojnego wyznawcę i dobrego pasterza. Im cięż-

sze obecne próby, tem rzewniejsza tęsknota nas zwraca ku dwudziestoletnim rządóm kardynała Ledóchowskiego. Następca jego, acz człowiek prawy, wiele jednak rzeczy pojąć, a tem mniej odczuć z nami nie zdoła. Choć germanizatorem ani narzędziem germanizacji być nie chce, charakter to, zdaje się bierny, do silniejszego oporu ani odporu niezdolny, uginający się pod naciskiem, który jego poprzednika złamał. W obawie, aby zbyt wielki przedział nie powstał między pastorem a zasmuconą tyłu już ciosami powszechnością, wierne obywatelstwo nasze udało się d. 10 b. m., w licznym pocztce do pałacu arcybiskupiego, celem polecenia ojcowskiej pieczy głowy naszych dyecezyi biednej dziatwy naszej, obecnym systematem szkolnym idyotyzowanej. Z kolei sądziwy patron kolek rolniczych, p. Maxymilian Jackowski i p. Józef Żychliński, podjęli się odczytania uchwalonego przez deputacyą adresu, nadmiar atoli wzruszenia tłumili ich głosy, łzy z niejednej męzkiej tryskały źrenicy, a sam arcybiskup uległ smutnemu onej chwili rozrzewnieniu. Przyrzekł ratować, co się da, dziękował za zaufanie, prosił o współpracownictwo w chrześcijańskim wychowywaniu młodszych pokoleń. Jakiegokolwiek będą skutki owej deputacyi, uważać ją można za krok rozumny i pełen taktu. Synowskie uzalenie się zawsze właściwszą otwiera drogę, aniżeli zaoczne wyrzekania i drażliwości, które tylko za wzajemnem porozumieniem usunąć lub przynajmniej złagodzić się dadzą.

Anormalność obecných stosunków szkolnych odrzęca tłumnie młodzież naszą od szukania wyższego wykształcenia. Praktyczne zawody dziś więcej nęcą, a kto wie: azali zmieniony ten prąd zawodowy nie okaże się w końcu bardzo korzystnym. Pominąwszy już kwestyą hyperprodukcji wykształcenia umysłowego kosztem ogólnego kapitału pracy materialnej, zachodzi pytanie: czy na tej drodze bardziej niepodległego kształcenia się i rozwijania, nie wyrobą się tężsi ludzie i szermierze? Zachwalona pruska edukacya przybiera coraz więcej cechę mustry i mechanicznej gimnastyki. Przeciwny jednostajnie ogół dochodzi wprawdzie do pewnego jednolitego stopnia kultury, ale niemiłosierny strychulec niweluje zarazem wszelkie odrębne zdolności i charaktery. Zauważono, iż w ostatnich latach Niemcy na polu naukowem dają się już wyprzedzać innym narodom. Wszelkie nowe wynalazki, głębsze badania, znaczniejsze odkrycia, dokonywane były przez Francuzów, Anglików, Włochów, Polaków, Rosyan itd. Niemiec opracuje rzecz z drugiej ręki mu podaną, nie umie pierwszy z niej wykrzesać ognia. Książki naukowe niemieckie z każdym rokiem tracą dawniejszą swą doniosłość. Jeśli na rodowitych Niemcach stwierdza się to przytępienie zdolności wciskanych w ciasne formy i formułki ustalonego systematu szkolnego, oileż większy szwank ponosić muszą polskie umysły, mające nadto do walczenia z językowemi trudnościami! Czy nie do tej pruskiej metody nauczania odnieść nam wypada ten brak ludzi, który nas w obecnych ciężkich przejściach zasmuca i przeraża? Bujna niegdyś wielkopolska ziemia, która jeszcze w połowie wieku tyłu znakomitościami zasłynęła, obecnie nie ma bodaj jednego wybitniejszego rozumem czy charakterem męża, zdolnego przewodzić wśród nas zając stanowisko. Jest wielki zasób cierpliwego hartu, dobrej woli, poczciwości nieskazitelnej, tych cnót szeregowcom właściwych i koniecznych; ale przewodników i kierowników, jakimi ongi bywali Marcinkowski, Gustaw Potworowski, Koźmianowie, hr. Edward Raczyński, generał Chłapowski itd., próżno dziś szukać wokoło. Zagon piastowski — mówię to z głęboką boleścią, ale i z przeświadczeniem — jest dziś wyjałowiony.

Jest już tylko u nas równość mierności, pracowitej wprawdzie i zacnej, ale nie zdolnej ani do jasnowidzenia ani ogarnięcia sytuacji wyższm poglądem zorganizowania wspólnej działalności. Braknie nam owej iskry ożywczej, którą niegdyś do każdej czynności wlewały płomienne serca bezdzietnych, niestety, ojców i poprzedników naszych.

Smutne te reflexy w każdym niemal kie-

runku znajdują potwierdzenie. W gronie dzielnych i zasłużonych posłów naszych nie masz ani jednego, któryby prawdziwie polityczną wymowę zapanować umiał nad niechętną Izba, wznowiając świetne powodzenia takich mówców, jak ongi bywali August Cieszkowski, Józef Morawski, Władysław Niegolewski. Kazalnica zgłuchła, nie pobrzmiewając już echem złotego krasomówstwa Janiszewskich i Prusinowskich. Ostatni kaznodzieja w wielkim stylu, ks. Chotkowski, przeniósł się do Krakowa, gdzie przy każdej znaczącej okoliczności, Skargowską podejmuje spuściznę. Ks. prałat Stabilewski jest bodaj jedynym w tej chwili mówcą sejmowym i kościelnym, o nierównym polocie, niekiedy bardzo podniosłym, w miarę przedmiotu i natchnienia, rzadko jednak porywającym serca. Bank ziemski nie dochodzi po części z braku odpowiedzialnych ludzi o finansowem, zawodowem wykształceniu i doświadczeniu. Ruch nawet piśmienniczy zarażony został tem ubóstwem myśli i polotu, które cechuje społeczne pokolenie. Książka poważniejszego nastroju i znaczenia, wydana w Poznaniu, dziś jest rzadkim objawem: zaledwie nas stać na peryodyczną prassę, o dorywczym wypełnieniu potocznych artykułami. Prawda, że na to zubożenie wpływa i prąd emigracyjny, przerzucający w inne, pomyślniejsze warunki, co mamy najlepszego w ludziach i talentach. Kraków i Lwów, a nawet Wiedeń, kosztem naszej prowincyi wzbogacają się dzielnymi pracownikami, których ubytek zpośród nas dotkliwie uczuć się daje.

Ale dość tych melancholijnych zwrotów, które rozstrajają tylko siły. Pocięszając się krzepić raczej należy dowodami skrzętności i dobrych chęci, na jakich chwala Bogu, nam nie zbywa. Po wielkim wiecu poznańskim odbywać się nie przestają pomniejsze zebrania w miasteczkach i wsiach parafialnych, wywołując z cienia niemało serdecznych mówców z pomiędzy ludu, który boleśnie odczuł krzywdę językową i sam szuka środków obwarowania się przeciw jej następstwom. Kwestya elementarzy nie przestaje być na porządku dziennym i dotychczas załatwioną nie została. Dotychczasowe podręczniki nie bardzo praktycznymi się okazały, dowodząc nieznajomości pojęć dziejących u tych, którzy je układali. Dobierano zbyt trudnych nieraz, nadzwyczajnych i mało używanych wyrazów, w miejsce potoczniejszych i potrzebniejszych. Może tym brakiem zaradzi drukujący się obecnie elementarz p. Chociszewskiego p. t. „Pociecha dla dzieci“; ponieważ autor, wybornie obeznany z potrzebami i uzdolnieniem młodego wieku, liczne już złożył dowody swej umiejętności, w nieprzeliczonym prawie pocztce różnolitych wydawnictw.

Walne zebranie Towarzystwa Przyjaciół Nauk w półrocznym sprawozdaniu obzajomilo nas z czynnościami uczonego grona. Zbiory muzealne pomnożyły się w tym czasie o 2.038 numerów, a jednocześnie zaznaczyły się wielkie postępy w ich wewnętrznym uporządkowaniu. Wydział przyrodniczy niebywałą w tym okresie czasu rozwinął działalność, dzięki pełnej zapala skrzętności swego nowego kierownika, Dra Franciszka Chłapowskiego, który niemało się przyczynił do rozklasyfikowania obfitych zbiorów mineralogicznych, botanicznych i zoologicznych. W wydziale historycznym stale rej prowadzi historyk czasów saskich, p. Kazimierz Jarochoński, zaznajamiając kolegów z ruchem historyografii międzynarodowej i podając im nowe zdobycze własnych badań dziejowych. Wydział archeologiczny, pod kierunkiem mecenasa Jażdżewskiego, posiada właściwy łącznik z całym światem naukowym w umyślnym wydawnictwie peryodycznem: „Zapiski archeologiczne“, przynoszące chlubne świadectwo umiejętnej pracy naszych archeologów. Rozkopane groby piastowskie nad Gopłem stanowią najciekawszy plon ostatniego półroczia. Sekretarz towarzystwa, hr. Benzelstierna-Engeström, nie ustaje też w chwalebnych zachodach. Jemu-to zawdzięczamy urządzenie w foyer teatru polskiego nieustającej wystawy dzieł sztuki polskiej, która dotąd u nas nie znajdowała odpowiedniego ogniska. Powtarzające się pojedyncze wystawy tego lub owego, w prze-

jeździe zatrzymanego obrazu, naprzemian w Bazarze lub pałacu hr. Zamoyskiego urządzone, dowodziły istotną potrzebę, jakiegoś ześrodkowanego i stałego miejsca popisu dla artystów naszych. Początki owej nieustającej wystawy dobrze o jej przyszłości wróżą; dzięki bowiem energii organizatorów, odrazu znalazło się kilka szkiców i obrazów celniejszych naszych malarzy, jak Matejki, Chlebowskiego, Kotsisa, Gramatyki, Lisiewicza, Mateckiego i innych. Ujrzelismy tam także wielkich rozmiarów medal bronzowy, dzieło Brodzkiego, z popiersiem Kochanowskiego, przeznaczony do pomnika jubileuszowego mającego stanąć przed katedrą poznańską na Placu Tumskim. Towarzystwo Przyjaciół Nauk wystosowało do dyrekcyi towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie gorącą odezwę, prosząc, aby raczyło wziąć pod swą opiekę naszą początkującą wystawę i udzielić poparcia tej wysuniętej na Zachód stacyi sztuki polskiej.

Wszystkie muzy znajdują w hr. Benzelstierna-Engeström gorącego orędownika i opiekuna. Od lat kilku corocznie mickiewiczowski obchód listopadowy pięknym urozmaica on wierszem. Tym razem ze złoalego serca wytrysnęła pieśń jeszcze silniejsza i rzewniejsza, niż dawniej, pełna złotych rad, jak strzedz najdroższych świętości w domu polskim, tej jedynej warowni, która nam pozostała.

Data 1-go Stycznia 1888, tak u nas, jak i na Szlaku została naznaczoną liczny pocztom nowopowstających czasopism. Trudno pochwalac bezwzględnie to rozpraszanie i tak już zbyt szczupłych zasobów naszych; rozsądniej i praktyczniej byłoby wzmacniać istniejące już i ustalone wydawnictwa, dostarczaniem im poparcia młodszych sił i zdolności, zamiast rozbijać nie liczne zastępy prenumeratorów, których żadne niemal pismo u nas nie posiada w dostatecznej liczbie, aby się mogło swobodnie rozwijać i własnymi funduszami sobie wystarczać.

Jeśli się nie mylę, wspominałem już w liście ostatnim o ciekawem wydawnictwie niemieckiem odnoszącem się do naszej historii i przeszłości. Zarząd pruskiego archiwum państwowego obecnie zwrócił się do skarbów archiwalnych zawartych w aktach grodzkich poznańskich. Skarby te dotychczas zaledwie w ułamkach były znane i wyzyskane przez uczonych specjalistów i badaczy. Najwięcej się w tej mierze zasłużył i odznaczył senator Romuald Hube, w swych pomnikowych pracach nad dawnem w Polsce sądownictwem.

Iuż też uczeni dorywczo korzystać umieli z nieprzebranych dla historii i dziejów kultury polskiej kopalni, ukrytych w poznańskim archiwum państwowem. Dopiero dziś w całości wyłaniają się te prawdziwe skarby, których wydanie, opracowanie i uporządkowanie powierzono p. Józefowi Lekszyckiemu, wieloletniemu i umiejętnemu stróżowi naszych zabytków archiwalnych. Tom I-szy zapowiada następstwo dalszych, a zawiera oryginalny materiał najstarszych aktów grodzkich z epoki, którąby najwłaściwiej nazwać wypadało epoką królowej Jadwigi, bo zawierającą zapiski sądowe pomiędzy latami 1386—1399, a więc od chrztu Litwy, do zgonu tej, którą źródła świeżo ogłoszone nazywać zwykły *Graciosa Regina*. Dziwnym zbiegiem okoliczności, pruska publikacya jak wraz trafiła na pięćsetletnią rocznicę serdecznej ofiary i misyji cywilizacyjnej dobrej królowej, przyłączając się do hołdów niesionych jej pamięci przez dawnych poddanych. Słuszna było, aby i lennik spanoszony okazał jej swą cześć, a choć to nastąpiło bezwiednie, historia Jadwigi i Jagiełły tym hacraczem się w samą porę wzbogaca.

Znakomite przedmowa w niemieckim spisana języku przez p. Lekszyckiego, podaje bardzo jasny obraz starego sądownictwa w Wielkopolsce. Ubolewać potrzeba, iż tak znakomita praca dla względów i wymagań wydawniczych skróciła wypadło; ale i taka, jaka jest, podaje ona szacowny kłębek Aryadny umysłom wędrującym po tym labiryncie aktów, których odczytanie równało się niemal studjom hieroglificznym, zważywszy na niepoprawność pisowni i nieczytelność pisma z owych tak dawnych czasów. Stosunkowo na

epokę pełną politycznych zamieszek, uderza ma-
ła liczba rozstrzygających się w grodzie poznań-
skim spraw kryminalnych, natomiast spraw szla-
checkich, sporów, działów, wywodów pokrewień-
stwa mnóstwo wielkie; uwydatnia się przy sa-
mym końcu XIV wieku ustalenie nazw rodo-
wych, najczęściej od zamieszkiwanych miejsco-
wości obyczajem, który się dziś jeszcze wśród
włościan naszych w pełni zachował. Akta grodz-
kie przytaczają mnóstwo nazwisk, które do dzi-
siejszych dotrwały czasów pośród szlachty. Zna-
lazła się tu i stanowcza odprawa dla tych, któ-
rzy dziś próbują dowodzić, iż mieszczaństwo po-
znańskie było pierwotnie czysto-niemieckiem, i
że dzisiejsze dzieło germanizacji, jest tylko od-
wetem i powrotem do stosunków z XIV wieku.
Zapewne, jak we wszystkich miastach prawem
magdeburgiem rządzonych, nie braknie tu na-
zwisk o brzmieniu obcym, ale są one w mniejszo-
ści, a czysto-polskich znajdujemy nierównie wię-
cej. Jak trudnem bywa rozpatrzenie się w tym
odmęcie imion, imionisk i nazwisk, wobec zmian
i przemian falującego jeszcze ciągle języka, udo-
wodni jeden przykład z pomiędzy wielu. Imię
Piotra szesnastu ulega odmianom, występując
z kolei jako Potrek, Petrasz, Petrucha, Patrko,
Petrko, Patrasz, Potrassius, Piotrek, Potras, Po-
trasz, Petrecz, Petrek, Pyotrasz, Pettrek, Pio-
terko.

Bardzo ciekawym jest obraz stosunków ma-
teryalnych epoki, wyłaniający się z dotychczas
głoszonych aktów grodzkich, w których na trzy
tysiące spraw przypada 14 procentów spraw pie-
niężnych. Obraz ten działa poniekąd uspokaja-
jąco, skoro temu lat pięćset społeczności zagra-
żały bodaj jednakże przełomy, a jednak nie zni-
kła ona w otehlani, która nas dzisiaj pochło-
nąłaby rada. Przewaga kapitału nad posiadło-
ścią ziemską już wtedy rysowała się groźnie,
skupiając się w ręku semickich lichwiarzy, u któ-
rych rycerstwo się zadłużało na wysokie pro-
centa; a jednak rycerstwa tego stało na długie
jeszcze wieki, obawy zżyczenia kraju okazały
się płonnemi, a własność ziemską ostała się mi-
mo parcia kapitału. Wiele też przybiera światła
do dziejów Izraela w Polsce, a zadziwia liczba
polskich nazw żydowskich, jak Pieczak, Bie-
niasz, Ostrosz, Miętus, Kaczkowa, Kraska,
Grziwka, obok Baruchów i Aronów. P. Lekszy-
cki ułatwił zadanie dziejopisów, podając im plan
Aktów Grodzkich w gotowej, przystępnej szacie
nowej publikacji archiwalnej, tak znośnie i su-
miennie opracowanej.

W obecnych materialnych i moralnych sto-
sunkach, nie dziw, iż życie towarzyskie prawie
zupełnie ustało. Wyjątek stanowią polowania,
które ożywiają myśliwskich: gwarem wiejską spó-
łeczność naszą, a ilością zwierzyny wytrzymują
porównanie z czeskiemi i szlaskiemi łowami. Je-
dyna to zresztą zabawa, na jaką nas stać jesz-
cze, wśród ogólnego przynębienia i biedy. Zima
i u nas zaostrzonymi mrozami spotęgowała
nędzę klas ubogich, zwłaszcza podczas świąt,
bardzo śnieżnych i zimnych. Owidyuszowe: *Quid
frigore sarmatico pejus?* nieraz nam pobrzmiwa-
ło w pamięci, a to tembardziej, iż długim szere-
giem lżejszych sił odzwyczajenie od srogości pol-
skich mrozów, zaniechaliśmy środków zabez-
pieczenia mieszkań naszych od gwałtownych na-
jazdów zimna. Upowszechnia się tu stopniowo
ogrzewanie domów zapomocą ciepłej wody, co
bywa największą oszczędnością opału, najjedno-
stajniejszą zapewnią temperaturę, lecz nazawsze
odejmuje naszym izbom i świetlicom starodawny
ich charakter zimowy, rozweselany trzaskaniem
drewek rozpalonych na kominku, i skupianiem
się rodzin w około ogniska. Postępy cywiliza-
cyi gotowe, wraz ze zniesieniem sympatycznych
ognisk, i samo pojęcie ich serdeczne zatrzeć zu-
pełnie.

Wiadomości literackie, naukowe i artystyczne.

Rzecz o socyalizmie napisał Mściław Edgar Trepka, Doktor
filozofii. 2 tomy in 16-o Warszawa 1888, druk Jana Cotty, skład
główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. T. I: str. XXVIII,
229 i 1 karta omyłek, T. II: str. 233 i 1 karta omyłek.

1. Autor przed dwudziestu już laty wydanych
Studyów ekonomicznych, napisał teraz dziełko: „dla
młodzieży naszej uniwersyteckiej, jakoprzestrożę
i wskazówkę“. Tak brzmi zaofiarowanie, na cze-
le tomu pierwszego umieszczone. Autor „staje
bez wahania po stronie wielkiej masy pracują-
cej, ubogiej, bezsilnej; nie dziwi się jej ciemno-
ści, jej przesądom, uprzedzeniom, namietnościom;
współczuje—wreszcie—jej aspiracyom i przyzna-
je im słusność.“ Nie przeszkadza mu to prze-
cież widzieć, że „wszystkie teorie wylęgle a *prio-
ri* w mózgach reformatorów społecznych, wszyst-
kie przewroty rewolucyjne, jakie w ich prze-
konaniu mają naraz pchnąć ludzkość na nowe
tory, są poprostu czczą fantasmagorią, a często
i systematycznym fałszem.“ Wobu ustępach po-
wyższych zamyka się dążność przewodnia, pierw-
szej u nas o socyalizmie, z tego stanowiska, sy-
stematycznie i w takiej obszerności drukowanej
pracy. W części pierwszej, wypełniającej T. I.,
przedstawia autor „ekonomiczno-społeczny roz-
wój ludzkości w czynie i w teorii“, w dwóch
dalszych: „Ekonomiczny ustrój społeczeństwa,
wobec wymóg socyalizmu“ i „Reformy społeczne.“
Część pierwsza rozpoczyna się u kolebki ludzko-
ści, co do której autor niema już żadnych złu-
dzeń: nie wiek złoty, ale wiek zwierzęcości był
dobą naszego niemowlęctwa. Mieszkając od wie-
lu bardzo lat na Zachodzie, głównie w Paryżu,
p. Trepka najwięcej światła rzuca na stosunki
francuskie tak w przeszłości, jak w teraźniejszo-
ści. Colbert jest dla niego wielkim człowiekiem,
a przez swą politykę ekonomiczną—ojcem dzisiej-
szego socyalizmu. Lassalle, Marx, Bismarck
przechodzą kolejno pod pręgierzem krytyki—„Bi-
smarckizm“ dobrze pochwycony. Schaeffle, by-
łego ministra austriackiego, profes. uniwersyte-
tu w Tübindze, uważa autor za największą po-
wagę naukową najnowszej szkoły socyalistycznej:
kollektywizmu szerzonego we Francyi przez Gu-
esde'a. Jako ojciec *nihilizmu* występuje u p.
Trepki Michał Bakunin, przyjaciel i współdzia-
łacz Herzena i Marxa, i wielu najwybitniejszych
osobistości ze stronnictwa ruchu w Europie,
zmarły w r. 1875. Amerykanin George, którego
mamy już popolsku, a jest cały w przekładach
niemieckich, zakończy ten szereg myślicieli cha-
rakteryzowanych zwężle. W dziełku popular-
nem nie było miejsca na dłuższe wywody.

W Tomie II, teoretycznym, zestawia p. Trep-
ka indywidualizm z państwowością socyalizmu i
socyalizmem państwowym, aby ostatecznie dojść
do wniosku, że typ dotychczasowego rozwoju
społeczeństw mianowicie: indywidualności i włas-
ności indywidualnej, rodziny, gminy, prowincyi,
stowarzyszenia—pozostanie i dla przyszłych po-
koleń jedynym możliwym w życiu, i tylko w tym
typie dokonywać się może i powinien ciągle po-
stęp, coraz wyższe wyzwalenie jednostek. Samo
społeczeństwo, nie zaś państwo, zając się powin-
no polepszeniem losu klas pracujących. Reforma
nie będzie dla socyalizmu ustępstwem, lecz prze-
ciwnie, gruchoczącym młotem: stronnictwo prze-
wrotu zamieni się w stronnictwo zachowawcze
Sama tylko religia nie poradzi; potrzeba istot-
nych przekształceń w zewnętrznych stosunkach
i położeniu jednostek i całych gromad. Nieza-
leżnie od poprawy mieszkań, zarobków, oświaty
wypada popierać stowarzyszenia współdzielcze
produkcyjne, zapewniać udział w zyskach przed-
siębiorstwa, myśleć o rozpostarciu instytucyi ubez-
pieczeń na najgłębsze warstwy ludu pracującego.
Środki te wystarczą—zdaniem autora—do zdła-
wienia socyalizmu i przywrócenia harmonii spó-
łecznej.

Rzecz o socyalizmie wyszła temsamem stara-
niem, któremu literatura drukowana zawdzięcza
*Pamiętniki Matuszewicza, Dziejopisarstwo, Zeiss-
berga, Logikę Baina, Dzieje Anglii Macaulay'a*—
i inne pożyteczne książki.

2. Po wielu wydawnictwach heraldycznych, ro-
bionych ostatniemi czasy tylko dla nasycania
próżności jednych, a chciwości drugich, mamy
przed sobą dwa wydawnictwa poważne, oba ga-
licyjskie. W roku przeszłym p. Stanisław Mie-
roszowski, członek komisji archeol. Ak. Um.
w Krakowie wydał *Kilka słów o heraldyce polskiej*
(Kraków, nakład Żupańskiego i Heumana, druk
„Czasu“ str. 3—80, tablice 11, 9 kłnb. objaśnień
i 2 karty kłnb „Treści“—in 8-o). Jest to przekład
rozprawy wydrukowanej w *Heraldische Viertel-
jahrsschrift* z r. 1883 niemiecku, a w *Giornale
Araldico* z r. 1884 po francusku. Ostatnie to cza-
sopismo jest organem Akademii Heraldycznej
Pizańskiej, do której autor należy, w charakterze
członka korespondenta. Praca ścisła i zasługu-
jąca na rozpowszechnienie. Postponowany przez
szkołę historyczną krakowską Lelewel był tu
znowu przewodnikiem naukowym.

Ważniejsze jest drugie wydawnictwo noszące
datę „1887 roku“. Złożono w niem owoc dłu-
giej systematycznej pracy. Firma lwowska p.p.
Gubrynowicza i Schmidta wydała *Spis nazwisk
szlachty polskiej*. Nad tym tytułem czytamy na-
zwisko *Jerzego Sewera Dunina - Borkowskiego*
(str. 611 in 8-o, druk J. Czańskiego w Gródku).
Do *Spisu* tego czerpano wiadomości z pięćdziesię-
ciu pięciu źródeł, na początku wymienionych, a
powoływanych przy każdej odpowiedniej pozycji.
Bez tego, oczywiście, wykaz nie miałby żadnej
powagi. Oddzielono też szlachtę rzetelną polską,
zprzed roku 1795, od późniejszej; i historycznie
bowiem i rzeczowo są to dwie całkiem różne od
siebie gromady. W pierwszej jest 20.737 na-
zwisk, nie zaś rodzin, jak przez niedopatrznie-
cie napisano w „Treści“; w drugiej—1.221. Do-
datki i sprostowania do Działu I obejmują jeszcze
802 nazwiska. Chcąc mieć sumę ogólną tego
działu, potrzeba wykreślić nazwiska powtarza-
jące się w dodatkach, a pozostałe dołączyć do po-
wyższej liczby 20.737. Oprócz herbu przy każ-
dem nazwisku, jeśli tego stanu faktyczny wyma-
gał podano godność, rok, miejscowość lub ziemię
zamieszkiwaną. Zamiast wielce lapidarnej, kil-
kunasto- wierszowej przedmowy lepiej było dać
mniej lapidarną, ale obszerniejszą i zaznajamia-
jącą ze źródłami w sposób krytyczny. Przyda-
łoby się też ilościowe i jakościowe porównanie
nowego spisu z dawnymi. Ostatniem wydawnic-
twem współrzednem dla obecnego jest katalog
Małachowskiego, wydany na początku bieżącego
stulecia. O spisach urzędowych nie mówimy.
Szacowny *Poczet rodów W. Ks. Litewskiego*, wy-
dany w roku przeszłym w Warszawie, wzbogaca
wielu nowemi nazwiskami najnowszy spis szlach-
ty polskiej.

3. Od roku już blisko mieliśmy zapowiedziany
nowy podręcznik do dziejów literatury, według
nowej metody, zespalałający życie umysłowe, za-
warte w literaturze, z ogólnym pochodem poli-
tycznym narodu. Opracowania tak zapowiedzia-
nego dzieła dokonał p. *Maryan Dubiecki*, a owoc
jego pracy mamy już przed sobą w dwóch pierw-
szych zeszytach. Nowa ta *Historja literatury
polskiej na tle dziejów narodu skreślona*, składać
się będzie z dwóch obszernych tomów; ogłoszenie
księgarskie zapowiada dzieło o 60 arkuszach
druku in 8-o. P. Dubiecki dzieli przeszłość na-
szej literacką na cztery okresy: do r. 1400, do
1600, do 1772 i do dni dzisiejszych. Oznaczając
granice pierwszego okresu, autor nie odbiega od
poprzedników swoich; przy trzech pozostałych,
kieruje się już własnem swoim wyrozumieniem
naczelnym znamion naszej umysłowości literac-
kiej. W każdym okresie są *doby* wybitniejsze,
począwszy od drugiego dobowi temi oznaczają się
poddziały okresów. W drugim okresie dostrzegł
p. Dubiecki dwie doby wybitne: *Długoża* i *Ko-
chanowskiego*, czyli Zygmuntofską; pierwsza cią-
gnie się do 1500, druga do 1600 roku. Granice
lat 1400 i 1500 przyjmuje również i najnowszy
podręcznik z dotychczasowych, Kulickowskie-
go. Okres III kończy się u p. Dubieckiego *dobą*

Konarskiego, na środek IV-go przypada *dość Mickiewicza*. O tym podziale, jak i o samem dziele, postaramy później pomówić obszerniej. Zeszty II przy końcu dopiero zachodzi w dobę Kochanowskiego. Pracę swoją przeznaczył autor „dla młodocianych i nieco już dojrzałych pokoleń” i pięknie ofiarował ją „Matkom, strażniczkom ognisk rodzinnych.” Nakład Maurycego Orgelbranda, druk St. Niemiry w Warszawie.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Towarzystwo literackie imienia Mickiewicza**, założone we Lwowie w 1886 r. a ukonstytuowane w Październiku roku zeszłego, wydało pierwszy swój rocznik: „Pamiętnik Towarzystwa Literackiego imienia Mickiewicza.” Wyszedł on pod redakcją prezesa Towarzystwa: dra Romana Milata, profesora historii literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim. Zadaniem pamiętnika jest ogłaszanie rozpraw i wszelkiego rodzaju wiadomości, które mogłyby rozjaśnić szczegóły biograficzne i historyczne, odnoszące się tak do samego poety, jak i jego otoczenia — jego epoki. W pierwszym tym tomie, który liczy stronice 278 (w 8-ce), mieści się na czele rozprawa Józefa Treliaka o „Idei Walenroda.” Wydanie Pamiętnika jest bardzo staranne i piękne; zdobi go rycina, przedstawiająca poetę na łożu śmierci, wykonana z rysunku T. Kwiatkowskiego.

Towarzystwo wzywa przez odezwę publiczną wszystkich, posiadających dawne, a dziś już rzadkie wydania dzieł poety, oraz rękopisma jego, lub listy, prosząc o nadesłanie ich Towarzystwu, czy sposobem daru, czy też sprzedaży. Celem Towarzystwa jest:

I-o utworzenie *Biblioteki Mickiewiczowskiej*, która by mieściła materiały odnoszące się do życia i pism poety; II-o Peryodyczne zebrania członków Towarzystwa, w których odbywać się mają odczyty i dyskusje treści odpowiedniej; III-o Wydawanie „Pamiętnika,” któryby zamieszczał rozprawy o Mickiewiczu i jego dziełach; IV-o Wydawanie dzieł Mickiewicza w najlepszym układzie, z najlepszymi objaśnieniami i jak najtańsze, lub też popieranie innych wydawców w usiłowaniach podobnych.

— **Jubileusz trzydziestoletniej pracy literackiej Platona Kosteckiego** obchodzony był we Lwowie d. 10 Stycznia. Prezydent miasta, Mochnacki, wręczył jubilatowi dary, Romanowicz, redaktor krakowskiej *Reformy*, przemawiał w imieniu prasy, Darowski w imieniu weteranów; studenci uniwersytetu mianowali go członkiem swojej czytelnicy. Jubilat otrzymał przed kilku laty nagrodę na konkursie literackim w Madrycie za piękny hymn do Matki Boskiej.

— **W Poznaniu** wychodzi 23 czasopism polskich, niemieckich 11.

— **Edward Jelinek** drukuje dwie prace, dotyczące naszego społeczeństwa: „Panie dawnych czasów” i „O dumach ukraińskich.”

— **Podróżnik nasz po Afryce**, Jawornicki, został zaproszony na członka Francuzkiego Towarzystwa Geograficznego.

— **Francuzkie Towarzystwo Geograficzne** będzie obchodzić w przyszłym miesiącu stoletnią rocznicę zaginięcia podróżnika La Pérouse, który w d. 29 Września 1787 r. wypłynął na okręcie „Astrolabe” z portu Avatcha dla dalszych poszukiwań i odkryć, a dał o sobie wiedzieć po raz ostatni d. 7 Lutego 1788 r. Przypuszczają,

że zginął w okolicach wyspy Vanikoro. List ostatni pisał z Botany Bay.

— **Drezdeńska Galeria Obrazów** nabyła nowy obraz Gabryela Maxa, stawiany przez niemieckich krytyków sztuki wyżej nad wszystkie dotychczas znane utwory tego malarza. Obraz nosi tytuł: *Ojciec nasz* i przedstawia młodą kobietę w bieliznie, klęczącą w nocy na łóżku i modlącą się ze złożonymi rękami. Piszą, że jest to arcydzieło, mimo pewnych, zwykłych błędów artystycznych tego malarza.

— **Międzynarodowa wystawa higieniczna i środków ratujących życie**, zostanie otwartą w Ostendzie d. 1 Czerwca i trwać będzie do 1 go Października. Ważnym oddziałem wystawy będzie oddział mieszczący w sobie higienę młodego wieku. Adres Sekretaryatu wystawy jest: Ostenda, Rue des Regnesses, N 3.

— **Międzynarodowa wystawa kwiatów**, otwarta w Bruxelli d. 15 Kwietnia, trwać będzie do d. 22 tegoż miesiąca i już ogromne ogrody miejscowego Towarzystwa Ogrodniczego urządzają się dla niej. Zbiór Orchideów, które głównie z Niemiec i Hollandyi są zapowiedziane, zajmie cały jeden budynek. Szacunkowa ich cena jest oznaczona na 60,000 franków. Pierwsza wystawa kwiatów miała miejsce także w Belgii, w mieście Gandawie, w 1809 r.

— **Dykcjonarz współczesnych pisarzy**, ułożony przez Angelo Gubernatis'a, wychodzi we Florencji nakładem księgarni Niccolai.

— **Król Oskar szwedzki**, piszący pod przybranym nazwiskiem Oskara Fryderyka, ma wydać wkrótce tom drobnych poezji lirycznych.

— **Dimitrios Antippa**, Grek rodem z Aten, umarł w Konstantynopolu, licząc lat 115. W roku 1791 przybył on do Paryża, gdzie został entuzjastycznie przyjętym przez stronnictwo rewolucyjne i wszedł w stosunki blizkiej zażyłości, a nawet przyjaźni z Robespierrem. Zmarły zostawił po sobie pamiętniki, w których mają się znajdować ciekawe szczegóły z tych właśnie czasów jego pobytu w Paryżu i listy Robespierre'a podpisywane: „Incorruptible.”

— **W Paryżu**, kopiąc ziemię pod arkadą mostu, mającego wiesić z ulicy De Maistre na bulwar Clichy, odkryto w głębokości 20 metrów szczękę mamuta ze wszystkimi, zupełnie dobrze zachowanymi zębami. Silnie osadzone w szczęce, mieszczą się one w oddaleniu 60 centymetr. jeden od drugiego. Postanowiono kopać dalej w celu odkrycia innych części tego wielkozwierza z czasów niedającej się obliczyć przeszłości. Uczni francuzcy dowodzą, że mamuty były przez fale morskie przynieszone do Europy. Cała dolina Sekwany pod Paryżem przedstawia pokład wapienia muszlowego, dowodzi to, że większa część Francyi była niegdyś morzem.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 12-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez M. Crawford.

Tanie zbiorowe wydanie POWIEŚCI HISTORYCZNYCH JÓZEFA IGN. KRASZEWSKIEGO

przedstawiających w formie powieściowej

Dzieje od IX do połowy XVIII wieku

Wyszedł z druku tom I-szy i zawiera:

Powieść osnuta na tle historycznem IX wieku pod tytułem:

STARA BAŚŃ.

WARUNKI PRENUMERATY

Kwartalnie za 5 tomów

Półrocznie „ 10 „

Roczne „ 20 „

W Warszawie:

Rs. 1 kop. 80

Rs. 3 kop. 60

Rs. 7 kop. 20

Z przesyłką pocztą:

Rs. 2 kop. 20

Rs. 4 kop. 40

Rs. 8 kop. 80

W Warszawie opłacać można też miesięcznie po kop. 60.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i kantory pism.

MICHAŁ GLÜCKSBURG, Księgarz-Wydawca, Ulica Królewska Nr 5.

TREŚĆ: Pogawędka. — Gdzie piękność? sonet, przez Szczęsną. — Życie i praca, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — Na starym gruncie, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — Korresponcyja zagraniczna, Poznań. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 12-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez Maryana Crawford. — 26 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyja stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 20 Января 1888 года

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.